

APOSTOLSTWO CHORYCH

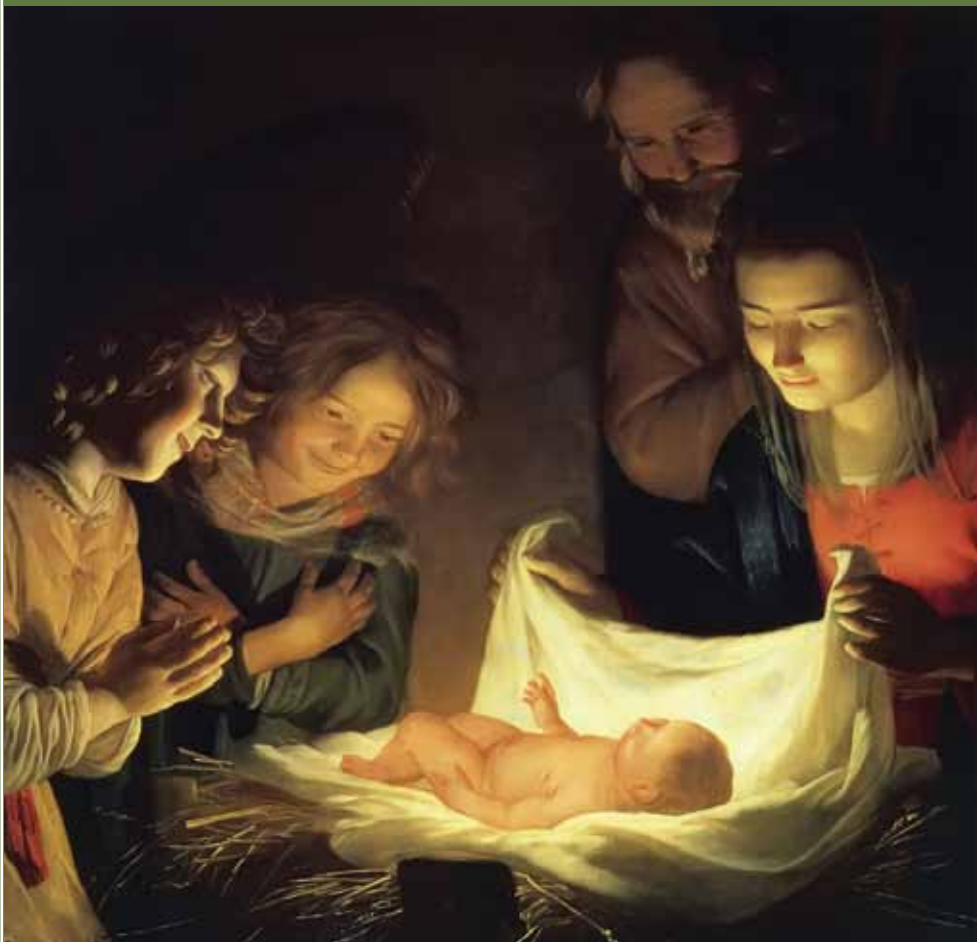
LIST DO OSÓB CHORYCH I NIEPEŁNOSPRAWNYCH

Miłość powszednia

– s. 19

PIERWSZA ADORACJA

Gerrit van Honthorst, „Adoracja Dzieciątka” 1622 r. Galleria degli Uffizi, Florencja



WWW.FREECHRISTIMAGES.ORG

Tam gdzie rodzi się Miłość, rodzi się także adoracja. Obecność jest najpiękniejszym zapewnieniem o tym, że się kocha. Bez słów i bez lęku, że koniecznie trzeba się czymś wykazać. Miłość jest trwaniem. Czystym, ufnym i prostym. Ona zawsze rozbłyska radością i spełnieniem. Miłości – dziękuję Ci, że zawsze, gdy pojawia się strach – Ty wzbierasz kochaniem.

Od redaktora



KS. WOJCIECH
BARTOSZEK
KRAJOWY
DUSZPASTERZ
APOSTOLSTWA
CHORYCH

W miesiącu grudniu przypada Międzynarodowy Dzień Wolontariusza. W związku z tym pragniemy zwrócić uwagę na działalność wolontaryjną wielu ludzi, nie tylko młodych. Zawsze będą istniały miejsca pełne biedy, smutku i bólu. Nigdy też nie zniknie potrzeba, by tej biedzie, smutkowi i bólowi zaradzać. Jakże wrażliwe są serca tych, którzy decydują się zaradzać tej cudzej niedoli całkowicie bezinteresownie! Uwielbiam Boga we wszystkich dziełach miłosierdzia i we wszystkich hojnych sercach. Niech On – Dawca wszelkiego dobra – Sam będzie nagrodą dla każdego, kto kocha i służy.



NASZA OKŁADKA

Miłość powszednia

Wolontariusze to osoby, które ze służby uczyniły styl życia. Na co dzień pomagają tam, gdzie jest to potrzebne.

Z BLISKA

Gotowość serdecznych dłoni

Ksiądz Krzysztof Goik opowiada o ofiarnej pracy wolontariuszy.

6

BIBLIJNE CO NIECO

O Bogu, który przychodzi

Treść Psalmu 24 przybliży ksiądz Janusz Wilk.

12

W CZTERY OCZY

Miłość powszednia

O trudnej codzienności i marzeniach, które czekają na spełnienie.

19

KAPŁAN WŚRÓD CHORYCH

Po prostu wujek

O sztuce poszukiwania radości w krainie bólu.

31

ROZMAITOŚCI

Temperament cappuccino

Albert Karkosz wspomina śp. księdza Jana Kantego Szurleja.

34

NASZA KORESPONDENCJA

Chorzy piszą do nas

W listach Czytelniczki dzielą się tym, co boli i cieszy.

38

Drodzy Chorzy!

KS. WOJCIECH BARTOSZEK

Z różnymi nastrojami czekamy na Boże Narodzenie. Dla wielu z nas jest to radosny czas przeżycia pamiątki Wcielenia Syna Bożego. Nie wszyscy jednak w tych dniach doświadczają radości i pokoju. Usłyszałem kiedyś bolesne wyznanie z ust niepełnosprawnego mieszkańca Domu Pomocy Społecznej: „Nie lubię świąt Bożego Narodzenia”. U początku mojej kapłańskiej posługi w ośrodku słowa te zaszokowały mnie. Zachodziłem w głowę: „Dlaczego on tak mówi? Przecież bożonarodzeniowe święta pełne są miłości, pokoju, ciepła rodzinnego. Czy jako kapłan popełniłem jakiś błąd w przygotowaniu do Bożego Narodzenia? Były msze święte roratnie. Tyle czasu spędzonego w kaplicy...”

Z czasem zacząłem rozumieć te słowa i odkrywać, w czym tkwi problem. Brak rodzinnego ciepła w różnym czasie uaktywnia się w sercach mieszkańców. Ale chyba najboleśniej odczuwany jest w okresie świąt. Kiedy chrześcijańskim zwyczajem ludzie gromadzą się podczas świąt w zaciszu domu rodzinnego, wielu pensjonariuszy pozostaje w ośrodku. Spora grupa mieszkańców musi pozostać, bo rodzina gdzieś daleko, jest nieobecna albo nie spełnia swoich wychowawczych funkcji. Mieszkańcom

ośrodka pozostaje rozmowa telefoniczna, a czasem nawet i jej brak... I jak tu się cieszyć z takich świąt?

Przywołując bożonarodzeniową historię z Domu Pomocy Społecznej, być może dotykam szerszego problemu obecnego nie tylko w sercach mieszkańców ośrodka, ale także we wnętrzu innych ludzi. Problemu związanego



z samotnością oraz brakiem więzi rodzinnych odczuwanymi nie tylko podczas świąt Bożego Narodzenia. Wiele osób chorych, niepełnosprawnych czy starszych doświadcza spoczywającej na ich sercach ciężkiej zasłony smutku samotności. Czasami trudno przyznać się do niej...

Może warto przedrzeć się przez tę zasłonę i zobaczyć w sobie małe dziecko czujące się tak bezradnie i krucho. To odsłonięcie boli, choć jest wyzwajające. W ciemnym tunelu naszej bezradności i kruchości możemy dostrzec Światło. Na początku Światło ledwo bijące swym

blaskiem, z czasem coraz intensywniej dostrzegalne. Tym Światłem jest przychodzący Syn Boży, który oświeca nasze wewnętrzne ciemności (por. Ps 18, 29; J 1, 5). Może brakować innych wokół nas. Dzięki wierze jesteśmy jednak pewni, iż On jest. On o nas nie zapomnia! On jest EMMANUELEM! Bogiem z nami.

Ojciec Święty Benedykt XVI kończąc list ogłaszający Rok Wiary, przywołał słowa św. Piotra: „Dlatego radujcie się, choć teraz musicie doznać trochę smutku z powodu różnorodnych doświadczeń. Przez to wartość waszej wiary okaże się o wiele cenniejsza od zniszczalnego złota” (1 P 1, 6-7). Autor listu pisał dalej: „Życie chrześcijan zna doświadczenie radości oraz cierpienia. Jak wielu świętych doświadczało samotności! Jak wielu wiernych, także w naszych czasach, doświadcza milczenia Boga, podczas gdy chciałoby usłyszeć Jego pocieszający głos! Doświadczenia życia, pozwalające na zrozumienie tajemnicy Krzyża i uczestniczenie w cierpieniach Chrystusa (por. Kol 1, 24), są wstępem do radości i nadziei, którym przewodzi wiara (...) Powierzmy się Jemu z ufnością”.

Siostry i Bracia, niech zbliżające się święta Bożego Narodzenia staną się dla Ciebie czasem, podczas którego dzięki wierze będziesz pewien, iż Bóg jest z Tobą i nie opuścił Cię. On na początku wypowiedział do Ciebie Słowo i nadal Je wypowiada nad Tobą (por. J 1,1). Jest to Słowo nieustannie stwarzające Cię i prowadzące ku Niemu. On, który jest „Światłością świata” (J 9, 5), oświeca całe Twoje życie.



RENATA KATARZYNA COGIEL

Gotowość serdecznych dłoni

Pani Jola zna szpital jak mało kto. Bez Niej trudno byłoby odnaleźć się w gąszczu trzech budynków i czternastu szpitalnych oddziałów. Ona po prostu wszystko wie i o wszystko dba.

KS. KRZYSZTOF GOIK

P oproszony o kilka słów o wolontariuszach obecnych w mojej kapelańskiej posłudze, postanowiłem odpowiedzieć na prośbę, by w ten skromny sposób wyrazić wdzięczność osobom będącym – nieraz od wielu lat – „przy szpitalnej kaplicy”. Osobom, które swoją obecnością zadają kłam dość rozpowszechnionemu stereotypowi, że kapelan szpitalny sam musi robić wszystko i jest nie do zastąpienia.

Pani Jola

Moje doświadczenie posługi w szpitalu dostarcza mi przekonania, że w pracy kapelana nie jestem sam. Wciąż otacza mnie spora grupa ludzi. Mają oni swoją bardzo konkretną, wymierną odpowiedzialność za poszczególne przestrzenie codziennego funkcjonowania szpitalnej kapelanii.

Nie było jeszcze koordynatorów wolontariatu, szkoleń, masowych akcji z plakietkami i kolorowymi gadżetami, często dość dużej akcji medialnej, gdy ponad dwadzieścia lat temu Pani Jola (będąca wówczas pacjentką szpitala) odpowiedziała pozytywnie na zaproszenie ówczesnego księdza kapelana Antoniego, by „układać kwiatki w kaplicy”. W ciągu tych długich lat w szpitalu posługiwało już kilku kapelanów, a Pani Jola ciągle przy tych „kwiatkach” trwa.

Układanie kwiatków

Świadomie zwrot „układanie kwiatków w kaplicy” wziąłem w cudzysłów, bo sprowadzenie Pani Joli tylko do tej czynności byłoby wielkim nadużyciem i niesprawiedliwością. Oczywiście, że kwiaty to także Jej praca i pasja. Co do tego nie ma wątpliwości. Jednak przez ten czas Pani Jola stała się osobną „instytucją” w szpitalnej kaplicy i zakrystii. Praktycznie jest w szpitalu codziennie



CANSTOCKPHOTO.PL

CHORYCH

7

APOSTOLSTWO

Dobroć ludzkich dłoni bierze swój początek w sercu. Dłonie wprowadzają w czyn to wszystko, co dyktuje głębia ukryta w człowieku.

oprócz sobót i niedziel, choć jak zajdzie potrzeba to i wówczas nie odmówi.

W kaplicy zawsze jest czysto. Niby to oczywiste. Ale kiedy uświadamiam sobie, że drzwi kaplicy stale są otwarte, bo mieści się ona w samym sercu szpitala i codziennie odwiedza ją spora gromada personelu i pacjentów – przestaje to być takie proste i oczywiste. Długie lata Pani Jola sama dbała, by było czysto. „To przecież szpital, proszę księdza, musi tak być” – słyszałem często. Kaplica to jednak nie tylko podłoga, którą trzeba powycierać. To także okna, krzesła, prezbiterium, sprzęty liturgiczne, świece, obrusy, dekoracje na święta i uroczystości.

Dochodzi jeszcze wykładanie na bieżąco prasy katolickiej, dbanie o to, by zawsze były czyste kartki do napisania prośb i podziękowań na cotygodniową nowennę, przygotowanie codziennej Mszy Świętej oraz nabożeństw. Słowem – ogrom pracy!

Serdeczne dłonie

Zapewne istnieją jeszcze sprawy, o których nie mam pojęcia „bo zawsze są” więc ich po prostu nie dostrzegam. Wielki to luksus – wiem to od innych księży kapelanów – kiedy zbiegam nieraz na ostatnią chwilę z oddziałów szpitalnych na wieczorną liturgię i nie muszę się martwić o nic innego, tylko

o to, by usiąść w konfesjonale. O całą resztę zadbała już Pani Jola. Tak to Jej „układanie kwiatków” na co dzień wygląda. Długo już lata. A w „wolnych chwilach” zostaje jeszcze pomieszczenie zakrystii i biuro kapelana. Pani Jola jest również punktem informacyjnym, gdy jestem wśród chorych na oddziałach szpitalnych. Z uśmiechem podyktuje telefon do kapelana, przyjmie intencje do modlitwy, wyjaśni o której będę. To proste, zupełnie bezinteresowne gesty dobroci, które ułatwiają życie chorym, ich rodzinom i mnie. Zachwyca mnie fakt, że gesty te rodzą się w sercu. Płyną z pragnienia, a nie z przymusu.

Wiadomo, że po południu w zakrystii lub kaplicy krząta się Pani Jola. „Zrobić księdzu herbaty? Trzeba kupić kawę i ciastka dla panów szafarzy, koniecznie trzeba już jechać z praniem, kończą się komunikanty, trzeba kupić świece”. Absolutnie nic nie ujdzie Jej uwadze. To naprawdę mnóstwo rzeczy i spraw, o które dba, które widzi, o których nie muszę pamiętać, zajęty większymi lub mniejszymi sprawami chorych czy personelu.

„Układanie kwiatów” – sam się zastanawiam pisząc te słowa – jak bardzo rozrosła się ta posługa Pani Joli. A przecież – przypominam sobie – nieraz idzie wysłana przeze mnie do chorych w trudnej sytuacji z niezbędnymi dla nich rzeczami czy jedzeniem. A księża, którzy mnie zastępują podczas mojego urlopu... Wystarczy powiedzieć: „Będzie

Pani Jola”. I sprawa załatwiona. Zaprowadzi gdzie trzeba, pokaże. Zna szpital jak mało kto. Wiele razy słyszałem od zastępców, że bez Pani Joli byłoby im o wiele trudniej „odnaleźć” się w rzeczywistości niemałego szpitala, trzech budynków i 14 szpitalnych oddziałów. Ileż w tym wszystkim ofiarnej miłości, serdeczności i dobra!

Dziękuję!

Miałem napisać jeszcze o Panach szafarzach, Pani Ewie i Pani Joasi, opiekujących się gazetką szpitalną, o Agacie i Robercie – rodzeństwie gimnazjalistów, którzy pomagają w zakrystii w niedzielę i służą w czasie liturgii, o Panu Przemku przychodzącym w niedzielę grać na organach do kaplicy, pomagających mi w czasie Bożego Narodzenia dekoratorach, które ustawiają żłóbek i stroją choinki. Rzesza dobrych, oddanych ludzi – wolontariuszy, którzy bez rozgłosu, tutaj właśnie znaleźli swoje miejsce konkretnej posługi, poza całą masą swoich codziennych obowiązków. Oni sami nigdy nie wpadliby na to, że robią coś niezwykłego.

Może innym razem uda mi się powiedzieć im, tak jak Pani Joli – „Ogromnie, z całego serca dziękuję!”

**Doświadczenie
posługi
w szpitalu
przekonuje mnie,
że w tej pracy nie
jestem sam.**

Ksiądz Krzysztof Goik jest kapłanem Szpitala Wojewódzkiego w Tychach. Przez wiele lat służył w Rosji jako misjonarz.



Gościna serca

Odkryła wówczas zagadkę dodatkowego nakrycia na stole. Ono czekało na drugiego człowieka, który jednak nie miał szansy przy nim zasiąść, bo przecież tradycja w jej domu zabraniała wstawania od wigilijnego stołu, by komukolwiek otworzyć drzwi.

DANUTA DAJMUND

Wiedziałam, że nie będzie mi łatwo namówić Panią Marię, by powiedziała o sobie coś dobrego. „A o czym tu mówić, to przecież nic takiego” – oponuje z rumieńcem zażenowania, właściwym młodej dziewczynie. Pani Maria ma 63 lata, ale duszę nieśmiałej nastolatki. „Nie zrobiłam nic nadzwyczajnego, naprawdę” – przekonuje.

Tradycja

Dzieciństwo Pani Marii przypadło na trudne powojenne lata. Jak wielu innym rodzinom, w domu brakowało wtedy niemal wszystkiego. Może dlatego tak dobrze pamięta nieliczne dni, kiedy zdawało się, że nie brakuje niczego. „Nie wiem, jak rodzice to robili, ale gdy przychodziły święta Bożego Narodzenia w naszej małej jadalni zawsze gościła największa w okolicy choinka, na stole królował biały obrus, wyjmowany z kredensu tylko trzy razy w roku: na Wielkanoc, Boże Narodzenie i na kolędę,

a stół ugiął się od tradycyjnych na Śląsku świątecznych potraw”.

Mama Pani Marii była perfekcjonistką. Lubiła mieć wszystko zapięte na ostatni guzik, dlatego przed wieczerzą wigilijną lepiej było schodzić jej z drogi i nie zadawać kłopotliwych pytań. A tych pytań w głowce Marysi rodziło się coraz więcej. Pytała na przykład, dlaczego nie wolno jej razem z tatą stroić choinki, dlaczego na stole stało zawsze jedno nakrycie, przy którym nigdy nikt nie siadał, dlaczego nie wolno nikomu wstać od wigilijnego stołu, nawet gdyby ktoś dobijał się do drzwi? Na wszystkie pytania, które odważyła się zadać, otrzymywała zawsze jedną odpowiedź: „Taka jest tradycja”. Do pewnego czasu nie kwestionowała tych obyczajów. Podczas którejś katechezy usłyszała od siostry katechetki historię młodych małżonków – Maryi i Józefa, oczekujących narodzin Jezusa, przed którymi wszystkie drzwi betlejemskich domostw pozostały zamknięte. Odkryła wówczas zagadkę dodatkowego nakrycia na stole. Ono czekało na drugiego człowieka, który jednak nie miał szansy przy nim

zasiąść, bo przecież tradycja w jej domu zabraniała wstawać od wigilijnego stołu, by komukolwiek otworzyć drzwi.

Postanowienie

Postanowienie, że kiedyś, gdy dorosnie zmieni ten obyczaj, zrodziło się podczas świąt Bożego Narodzenia kilka lat później. „Moi rodzice byli bardzo dobrymi ludźmi. Kochali się i prawie nigdy nie kłócili. Ale tego dnia od samego rana było jakoś inaczej” – wspomina Pani Maria. Do dziś nie wie, o co im poszło. Rankiem obudziły ją podniesione głosy, a przez cały dzień mama była bardziej nerwowa niż zwykle i nie odzywała się do taty. Kiedy jednak zasiedli do wigilijnej wieszery, uściskali się i podzielili opłatkiem. „Byłam szczęśliwa. Jak to dobrze, że jest Boże Narodzenie” – pomyślałam. Tylko, że po kolacji rodzice znów się do siebie nie odzywali, nie było też wspólnego śpiewania kolęd. Nie poszli – jak zwykle do tej pory – na Pasterkę. Wieczorem, drugiego dnia świąt, kiedy ich milczenie stało się dla mnie nie do zniesienia, nie wytrzymałam: «A więc to tak! Taka jest ta wasza tradycja!» – krzyknęłam i wypadając z pokoju trzasnęłam drzwiami. Wiem, byłam dla nich zbyt surowa i zachowałam się jak histeryczna nastolatka. Ale nikt nie poszedł za mną, by przywołać mnie do porządku. Za to następnego dnia rodzice – trochę onieśmieleni – przytulili mnie do siebie, a potem się pocałowali. Wszystko wróciło do normy, ale ja już postanowiłam, że w moim domu «tradycja» nie będzie najważniejsza” – mówi Pani Maria z przekonaniem.

Mąż Pani Marii pochodził z rodziny, w której nie kultywowało się żadnych tradycji. Właściwie nie miał dzieciństwa. Jego rodzice bardziej kochali butelkę niż swoje dzieci, więc święta spędzał zwykle w Domu Dziecka albo u ciotecznej babci. Może dlatego nie oponował, gdy jego młoda żona zaczęła tworzyć ich własną „tradycję”.

Gość w dom, Bóg w dom

Pierwszą Wigilię spędzili przy łóżku ciotecznej babci męża. Starsza pani, poza innymi dolegliwościami, cierpiała na jakiś rodzaj demencji. Pewnie nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje, ale Pani Maria lubi myśleć, że było jej miło spędzić te dni w ich towarzystwie. W następne święta Bożego Narodzenia był już na świecie ich mały synek. Tydzień przed świętami przywieźli więc babcię do siebie a wraz z nią jej samotną sąsiadkę, która czasami służyła jej pomocą. Po dwóch latach babcia zmarła, ale jej sąsiadka niemal do samej śmierci była ich częstym gościem – nie tylko od święta.

„Czasami poza moimi rodzicami i dziećmi gościliśmy kilkoro innych osób, z którymi nie łączyło nas żadne pokrewieństwo. Jednego roku musieliśmy zostawić aż siedem «pustych» nakryć. Ale to były najradośniejsze święta w moim życiu”. Tę historię opowiedzieli mi już wcześniej znajomi Pani Marii. Inaczej pewnie nie udałooby mi się Jej zmusić, by ją opowiedziała.

Mieszkańcy kilku okolicznych parafii dobrze znali pana Romka. Często brudny, zarośnięty, nieraz bosy wystawał to przed



CANSTOCKPHOTO.PL

jednym, to przed innym kościołem. Nie był nachalny, po prostu stał z pochyloną głową a przed nim leżała jakaś puszką.

Zbłąkany wędrowiec

Podniósł głowę ze zdumieniem, kiedy zamiast brzęku monety spadającej do puszkę usłyszał nagle kobiecy głos: „Dzień dobry, nie jest pan głodny?” Potwierdził skinieniem głowy, a wtedy zza pleców kobiety wyłonił się mężczyzna i powiedział: „W takim razie zapraszamy do nas, na kolację”. Spojrzał z niedowierzaniem, a potem bez słowa poszedł za nimi. „Staraliśmy się go nie obrazić, więc udawaliśmy, że nie czujemy przykrego zapachu jego odzieży i nie widzimy brudnych rąk, które opierał na obrusie” – wyznaje pani Maria. „Podczas następnej wizyty w naszym domu sam zapytał, czy mógłby się

umyć. Trochę trwało, zanim odważyłam się zaproponować mu przyjęcie paru sztuk odzieży”.

Pan Romek okazał się sympatycznym, inteligentnym człowiekiem. Kiedyś miał żonę, dzieci i skromne mieszkanie komunalne. Potem wszystko się zepsuło. Znany schemat: koledzy, alkohol, utrata pracy. Kiedy się ocknął, było już za późno. Dzieci znalazły opiekę w Domu Dziecka, żona zamieszkała w noclegowni, a on... No cóż – sypia gdzie padnie.

Udało się

„Panu Romkowi udało się” – mówi Pani Maria, zgrabnie pomijając swój udział w szczęśliwej zmianie jego losu. Dziś znów ma pracę, małe mieszkanie, a co najważniejsze – są razem z żoną i dziećmi. „To były najradośniejsze święta, jakie pamiętam. Siedzieliśmy przy wspólnym stole: Pan Romek, jego żona Anusia, moi rodzice i my. A u stóp choinki naszych dwóch synów i troje dzieci naszych gości wspólnie cieszyło się prezentami. Nie wyobrażam sobie lepszych świąt!”

Od dwóch lat mąż pani Marii nie żyje. Pierwsze święta po jego śmierci spędziła z chorymi na oddziale szpitala, w którym zaledwie 3 miesiące wcześniej umierał. „A ostatnie święta Bożego Narodzenia przeżywałam z moją córką i jej rodziną. Nie ja jedna. Była z nami dwójka wychowanków Domu Dziecka i dwie samotne sąsiadki mojej córki i jej męża. Czyż mogę nie czuć się szczęśliwa? Może «tradycja» wcale nie jest taka zła” – śmieje się Pani Maria.



O Bogu, który przychodzi

Z KSIĘGI PSALMÓW. Król chwały wkracza w historię ludzkiego życia. Proszę o otwarcie Pisma Świętego na **Psalmie 24**.

KS. JANUSZ WILK

CHORYCH
12
APOSTOLSTWO

Przychodzenie – oto słowo, które może odzwierciedlać myśl przewodnią Psalmu 24. Składa się on z trzech części, z których dwie ostatnie poruszają temat „przychodzenia”. Pierwsza z nich zawiera uznanie wobec wielkości Jahwe (wersy 1b-2). Po niej (wersy 3-6) następują wskazówki adresowane do człowieka, który pragnie przybyć do miejsca świętego, a ostatni *passus* (wersy 7-10), to pełen rytmiki opis przyścia Jahwe, który w psalmie został nazwany „Królem chwały”. Pieśń ta, która prawdopodobnie była śpiewana podczas dorocznych świąt, w których Izraelici byli zobowiązani do przybycia w pielgrzymce do jerozolimskiej świątyni, łączy w sobie kult Jahwe z przypomnieniem pielgrzymom o konieczności adekwatnej postawy religijnej i moralnej. Celem bowiem przychodzenia Boga i człowieka jest wzajemne spotkanie.

Wersy wprowadzające (1b-2) stanowią deklarację wielkości Boga, który jest Panem całego świata. Jemu zostały przypisane następujące atrybuty: „posiadanie”, „panowanie”, prawo do całego świata oraz wszystkiego, co w nim istnieje. Bóg prawo to nabył przez fakt stworzenia, co w języku biblijnym zostało wyrażone przez obraz osadzenia ziemi – która w wyobrażeniach starożytnych ludów (nie tylko Izraelitów) miała kształt kolistej wyspy – na kolumnach utrzymujących ją nad bezkresnym oceanem. Były to tzw. „wody dolne”. „Wody górne” znajdowały się nad sklepieniem nieba (zob. Księga Rodzaju 1, 6-7). To z nich padał deszcz, a zbyt mocno odkręcone „zawory nieba” powodowały powódź na ziemi. Echem tych poglądów jest właśnie wers 2. Psalmista nie porusza przyrodniczych kwestii sposobu powstania świata, stwierdza tylko sam fakt, że coś zostało stworzone, a tym, który tego dokonał jest Bóg.

Majestat Boga został wyeksponowany także w drugiej części psalmu, poświęconej



SXC.HU

głównie człowiekowi. Bóg tak przewyższa człowieka, że orant (chór pierwszy, gdy psalm był uroczyście śpiewany) stawia pytanie, kto z ludzi może przybyć do miejsca świętego, na którym zamieszkał sam Jahwe (wers 3). „Góra Pana” i „miejsce święte”, to oczywiście góra Syjon, wokół której usytuowało się Jeruzalem, a która od czasu przeniesienia Arki Przymierza (zob. Druga Księga Samuela 6, 1-19) oraz

wybudowania przez króla Salomona świątyni, była uważana za górę Jahwe i miejsce Jego mieszkania (zob. np.: Pierwsza Księga Królewska 8, 12-53; Księga Izajasza 8, 18). Nie każdy mógł tam przybyć. Psalmista (chór drugi) w wersie 4 wylicza cztery przymioty, którymi powinien charakteryzować się człowiek, wędrujący na spotkanie z Bogiem. Pierwszy z nich, to posiadanie „nieskalanych rąk”, drugi „czystego serca”,

trzeci, to „nie skłonienie swej duszy ku marnościom”, czwarty – wolność od „fałszywej przysięgi”. Dwa pierwsze są natury ogólnej i dotyczą nienagannego postępowania („nieskalane ręce”) oraz nienagannego usposobienia („czyste serce”). Dwa kolejne są już szczegółowe i dotyczą konkretnych przestrzeni ludzkiego życia. Człowiek udający się do miejsca świętego musi być wolny od złych spraw i fałszywej przysięgi. Te dwie cechy ilustrują ludzkie działanie oraz ludzką mowę. To dwie przestrzenie, w których szczególnie łatwo może zrodzić się zło. Wers 5 ukazuje dobrodziejstwo płynące z posiadania tych czterech przymiotów, a jest nim błogosławieństwo Boga. Izraelita wiedział, że w błogosławieństwie udzielonym przez samego Boga jest już wszystko. Wers 6 kończy tę część psalmu refleksją nad poszukiwaniem Boga i pragnieniem trwania przy Jego obliczu. Czystość życia wzmacnia tęsknotę za Bogiem.

Ostatni fragment psalmu rozpoczyna się wezwaniem do uosobionych bram (miasta, świątyni) i wrót wieczności, aby otwały się i umożliwiły wejście Królowi chwały (wers 7). Słowa te mogą być aluzją do procesji, podczas której wnoszono Arkę Przymierza do Jerozolimy lub później, do nowo wybudowanej w niej świątyni. Orant (lub chór pierwszy) ponownie stawia pytanie. Tym razem o istotę samego Boga (wers 8). Odpowiedź (chór drugi) jest zgodna z ówczesnym spojrzeniem na Boga. Został On przedstawiony jako

mocny, dzielny i potężny w boju wojownik. Była to wówczas najlepsza pochwała, jaką mógł ktoś uzyskać. Lepszej formy okazania czci nie znano. Po ponownym wezwaniu skierowanym do bram i wrót wieczności, aby uniosły się i otwały przed Królem chwały (wers 9), następuje kolejne pytanie o Króla chwały (wers 10a). Odpowiedź (wers 10b), tym razem nawiązuje do wiary Izraelitów – Królem chwały jest Pan Zastępów (zob. np. Druga Księga Samuela 5, 10; 7, 8; Księga Ozeasza 12, 6). Przez ten tytuł Bóg objawił się narodowi wybranemu jako władca wszechświata, wódz zastępów niebieskich i obrońca Izraela.

Psalm 24 nawiązuje do wydarzenia historycznego (wspomniane przeniesienie Arki Przymierza do Jerozolimy), ale w dalszej perspektywie odnosi się do powtórnego przyjścia Jezusa na końcu ziemskiego cza-

su. I jak nikt nieczysty nie mógł wejść do świątyni jerozolimskiej, tak też nikt obciążony grzechem nie będzie mógł wejść do „niebieskiego Jeruzalem”. Bóg nieustannie przychodzi do człowieka, a człowiek ma wytrwale przychodzić do Boga. Spotkania z Bogiem mają nas motywować, byśmy byli ludźmi o rękach nieskalanych i o czystym sercu, którzy nie skłaniają swej duszy ku marnościom i nie przysięgają fałszywie. Czy w przyszłości odwieczne wrota nieba otworzą się przed nami?

**Bóg nieustannie
przychodzi do
człowieka, a człowiek
ma wytrwale
przychodzić do Boga.**



Błogosławiony Piotr Jerzy Frassati

– Wolontariusz miłosierdzia

Często wracał do domu bez płaszcza, marynarki albo osobistych drobiazgów, bo po drodze zdarzało mu się je rozdać.

Towarzyszy mi od wczesnej młodości. Przystojny chłopak w kolorze sepii spoglądający wielkimi oczami z obrazka, który już wtedy wydawał się stary i zniszczony. Nie pamiętam, jak weszłam w jego posiadanie. Co roku przeklejany ze starego do nowego „zeszytu do religii”, w końcu nie chciał już wchłonąć kolejnej porcji kleju. Stał się więc zakładką w moim pamiętniku. To było dawno. Zanim jeszcze Papież Jan Paweł II ogłosił go błogosławionym Kościoła, zanim nawet Karol Wojtyła został papieżem.

Charakter

„Pier Giorgio Frassati (1901-1925)” – pamiętam, że te słowa pod wizerunkiem młodego mężczyzny zawsze dziwnie mnie poruszały. Całe życie zamknięte w klamrze dwóch dat. Czy tylko tyle – narodziny i śmierć, początek i koniec – zostawiamy po sobie? Nie! Przynajmniej nie tym razem. Piotr Jerzy Frassati przyszedł na świat w Wielką Sobotę

– 6 kwietnia 1901 roku w piemonckim Pollone, w rodzinie znanego polityka Alfreda Frassatiego, założyciela liberalnego włoskiego dziennika „La Stampa” oraz znanej malarki Adelajdy, z domu Ametis. Wraz z młodszą siostrą Łucją wzrastali w zamożnej rodzinie, ale ich dzieciństwo nie należało do szczęśliwych. Ciągłe konflikty między rodzicami nie sprzyjały poczuciu bezpieczeństwa tak potrzebnego w rozwoju dzieci. Zamiast tego otrzymywali zbiór reguł, którym musieli się podporządkować. Matka lekceważyła swoje dzieci i niejednemu raz dawała odczuć synowi, że nie spełnia jej oczekiwań. Zarówno ona, jak i zajęty polityką ojciec, nigdy nie zadali sobie dość trudu, aby lepiej go poznać. Dopiero po śmierci syna zrozumieli, jak wiele stracili.

Piotr Jerzy, choć głęboko przywiązany do rodziców, zdawał sobie sprawę, że nie może liczyć na ich zrozumienie także w sprawach duchowych. Pewnie dlatego szybko porzucił kielkującą w sercu



BRANDONVOGT.COM

do Kongregacji Mariańskiej, Bractwa Różańcowego, III Zakonu Świętego Dominika oraz Konferencji Świętego Wincentego – dobroczynnej instytucji opiekującej się ludźmi chorymi i ubogimi. Wrażliwość i wszechstronne zainteresowania skłoniły go także do czynnego udziału w życiu politycznym i społecznym. Choć wydaje się to niemożliwe, we wszystko angażował się bez reszty. Jak to się działo, że znajdował jeszcze czas na wyprawy w ukochane Alpy i działalność w Stowarzyszeniu Ciemnych Typów, którego był współzałożycielem – tego już się pewnie nie dowiemy. Celem tego stowarzyszenia o przedziwnej i niewzbudzającej zaufania nazwie był apostołat wiary i modlitwy, a przede wszystkim czynienie dobra. Sądzę, że to głównie tu należy szukać źródeł jego działalności społeczno-politycznej i ofiarnej miłości do ludzi wyrzuconych poza margines społeczeństwa z powodu choroby lub ubóstwa.

Pod sztandarem miłości

Ten czarujący chłopiec kochający życie, sport i góry, ale jeszcze bardziej Boga i bliźniego – starał się dawać Bogu odpowiedź życiem, które upływało pod znakiem miłości do Niego. Tylko bezgranicznym zaufaniem do Bożych planów można też tłumaczyć dojrzałość, z jaką Piotr Jerzy rozumiał sens radości i cierpienia. Oparcia szukał w Eucharystii i modlitwie, nie wstydząc się gorliwych praktyk religijnych, a na złośliwe zarzuty niektórych kolegów, że jest świętoszkiem odpowiadał spokojnie: „Nie, ja pozostałem chrześcijaninem”. Nieraz mawiał też:

myśl o kapłaństwie, a jego życie religijne musiało rozwijać się głównie poza środowiskiem rodzinnym. Był przywiązany do babci – jedynej religijnej osoby w rodzinie, a z siostrą łączyła go szczerza przyjaźń. Jednak to wiara i osobista więź z Jezusem stały się prawdziwym fundamentem życia młodego Frassatiego.

Piotr Jerzy od dziecka głęboko przeżywał wszystko, co działo się w jego kraju i na świecie. Gdy wybuchła I wojna światowa miał zaledwie 13 lat. Kiedy w 1913 roku, po niezaliczonym egzaminie poprawkowym, przeniesiono go z gimnazjum do prywatnej szkoły Ojców Jezuitów w Turynie, w jego życiu nastąpił punkt zwrotny. To wówczas zapisał się do Apostolatu Modlitwy i Krucjaty Eucharystycznej, a nieco później

„Własnymi siłami niczego nie dokonasz, ale jeśli Bóg będzie ośrodkiem każdego twego działania, to wytrwasz i dojdiesz do celu”. Nikt, kto widział jego życie, nie wątpił w szczerość tych słów.

Aby ubrać w słowa to, kim był Piotr Jerzy Frassati trzeba by go nazwać wolontariuszem miłosierdzia. Jego miłość rosła wraz z nim. Jako dziecko próbował zwalczać ludzką biedę metodami dostępnymi dziecku. Zbierał na rzecz misji bilety tramwajowe i znaczki, a skromną zawartością skarbonki wspomagał żołnierzy. Studiując na politechnice dał się poznać jako ten, który nigdy nie odmawia pomocy. Wkrótce też pomoc potrzebującym stała się jego życiową pasją. Przyjaciele twierdzili, że Piotr Jerzy „przekracza” przykazanie miłości, gdyż kocha bliźniego bardziej niż siebie. Nie było w tym przesady. Często wracał do domu bez płaszcza, marynarki albo osobistych drobiazgów, bo po drodze zdarzało mu się je rozdać. Czasem nawet zabrakło mu pieniędzy na powrotny bilet do domu. Nieraz też widywano go ciągnącego drogami Turynu wózki ze skromnym dobytkiem biedaków poszukujących mieszkania. Wchodził do domów w najbardziej niebezpiecznych dzielnicach, zamieszkiwanych głównie przez ludzi ubogich oraz mających kłopoty z prawem. Nie wstydził się też kwestować dla ubogich, wyzbywając się dla nich własnych zasobów. Przy tym wszystkim wcale nie odznaczał się naiwnością. Świadczą o tym jego słowa:

Największą miłością Piotr Jerzy obdarzał chorych, zwłaszcza tych najuboższych.

„Jest pięknie dawać, ale jeszcze lepsze jest doprowadzenie biedaków do sytuacji, że będą pracować”.

Z chorymi za pan brat

Największą miłością Piotr Jerzy obdarzał jednak chorych, zwłaszcza tych najuboższych. Godzinami potrafił siedzieć przy ich łóżkach, nie bacząc na własne zdrowie i bezpieczeństwo. Próbował też nakłonić do tego swoich kolegów. Jeden z jego przyjaciół opowiadał później: „Pewnego dnia usiłował przekonać mnie do uczestniczenia w dziele miłosierdzia Świętego Wincen- tego. Na przedstawiane przeze mnie trudności, że nie mam dość odwagi, by wejść do brudnych i cuchnących domów biedaków, gdzie mógłbym zarazić się jakimiś chorobami, z całą prostotą odpowiedział, iż nawiedzanie biednych jest nawiedzaniem samego Jezusa Chrystusa”.

Piotr Jerzy Frassati napisał kiedyś: „Kto pomaga choremu, wypełnia dzieło wyjątkowe, (...) jest szczególnie błogosławiony, bo trudno jest obarczać się bólem innych, gdy mamy sami tysiące własnych trosk i zmartwień”.

Naznaczony bólem

Dla niego jednak cierpienie innych zawsze było ważniejsze niż własne. 30 czerwca 1925 roku, po kolejnych odwiedzinach u swych podopiecznych, poczuł się bardzo źle. Zauważył też, że z jego ciałem dzieje się coś dziwnego. Nie

chciał jednak zwracać na siebie uwagi bliskich, zaabsorbowanych umierającą babcią. Nie naprzykrzając się nikomu, samotnie i spokojnie znosił objawy szybko postępującej choroby. Gdy w końcu rodzice zauważyli, co się dzieje, było już za późno. Ich młody, wysportowany, dotąd pełen życia i energii syn, umierał. Okazało się, że Piotr Jerzy od kogoś ze swoich podopiecznych zaraził się chorobą Hainego-Medina, a sprowadzona zbyt późno surowica nie mogła już pomóc. Ale nawet wtedy, podczas własnej agonii, myślał tylko o innych. Ostatniego dnia, już częściowo sparaliżowany, prosił o dostarczenie zastrzyków jednemu ze swych chorych podopiecznych.

Przystojny Święty

Zmarł 4 lipca 1925 roku. Na pogrzebie jego rodzice pierwszy raz spotkali tych, którym poświęcił życie. Dopiero wówczas, widząc jak bardzo był kochany przez chorych i ubogich, zrozumieli, kim był ich syn. Teraz dopiero naprawdę go poznali. Czy można ich jednak za to winić? Wszak ja, jako młoda dziewczyna, o Piotrze Jerzym Frassatim z mojego ulubionego obrazka wiedziałam już znacznie więcej, a jednak fascynowało mnie głównie to, że „taki młody, przystojny, wysportowany, zwyczajny, a tu proszę – kandydat na ołtarze!”. Nawet, kiedy Jan Paweł II 20 maja 1990 roku ogłosił go błogosławionym Kościoła nie rozumiałam, na czym w istocie polegała świętość jego życia.

Wśród wielu pośmiertnych wspomnień o Piotrze Jerzym Frassatim, które pomogły mi go zrozumieć, chyba

najbardziej zaskakujące napisał w swoim pamiętniku człowiek, którego trudno podejrzewać o prokatolickie sympatie – socjalista Filippo Turati.

Po jego śladach

Pisał tak: „Piotr Jerzy Frassati, który umarł w wieku 24 lat, był prawdziwie człowiekiem. To, co czyta się o nim, jest tak nowe i niezwykle, że napełnia szacunkiem i zdziwieniem nawet tych, którzy nie podzielali jego wiary. Młody i bogaty, wybrał dla siebie pracę i dobroć. Wierzący w Boga, wyznawał swoją wiarę z otwartością, rozumiejąc ją jako służbę wobec świata, bez własnego wygodnictwa. Ale jak oddzielić owo wyznanie od udawania? Życie jest probierzem słów i czynów. Czyny mają większą wartość od słów. Ten młody katolik był przede wszystkim człowiekiem wierzącym. Ten chrześcijanin, który wierzył i działał tak jak wierzył, mówił – jak odczuwał, czynił – jak mówił, bezkompromisowy odnośnie do swojej religii – jest najlepszym przykładem mogącym wszystkich czegoś nauczyć”.

Cieszę się, że dziś osoba i dzieło błogosławionego Piotra Jerzego Frassatiego są lepiej rozumiane niż w czasach mojej młodości. Świadczą o tym liczne stowarzyszenia i organizacje charytatywne, którym patronuje w Polsce i na całym świecie. Trzeba wierzyć, że życie tego Wolontariusza miłosierdzia zainspiruje jeszcze wielu chrześcijan do służby Bogu obecnemu w człowieku.

Miłość powszednia

Janina Grodzka, wolontariuszka Stowarzyszenia na Rzecz Niepełnosprawnych SPES, opowiada o trudnych decyzjach i miłości praktykowanej na co dzień.

REDAKCJA: – *Jesteś osobą, której doba зда-
je się mieć dużo więcej niż 24 godziny.
Tak przynajmniej wynika z ilości zajęć
w Twoim grafiku.*

JANINA GRODZKA: – Faktycznie jestem osobą dosyć zajętą, ale jeśli się chce, wszystko można ze sobą pogodzić.

– *Oprócz pracy zawodowej, angażujesz się również w wolontariat.*

– Tak. Jestem lekarzem anestezjologiem, pracuję w szpitalu. Moja aktywność wolontaryjna jest związana ze środowiskiem osób niepełnosprawnych. Działam w Stowarzyszeniu na Rzecz Niepełnosprawnych SPES. Zachęciła mnie do tego moja koleżanka ze studiów, która była wówczas wolontariuszką. Za jej namową przyszedłam kiedyś na

Janka jest lekarzem anestezjologiem, aktualnie w trakcie specjalizacji. Mimo ogromnej ilości rozmaitych obowiązków ciągle ma siłę, by się uśmiechać i służyć.



spotkanie i tak się złożyło, że jestem w Stowarzyszeniu już od sześciu lat...

– No dobrze, zachęciła Cię koleżanka. To był z pewnością impuls, by podjąć konkretne działanie. Zwykle jednak – na długo przed takim impulsem – kielkuje w nas myśl... Wyobrażam sobie, że ta zachęta koleżanki musiała spotkać się w Twojej osobie z pragnieniem, które pojawiło się dużo wcześniej.

– To prawda. Nosłam w sobie pragnienie, ale było ono wówczas mało konkretne. Chciałam po prostu w jakiś sposób pomagać innym, zagospodarować swój wolny czas. Dzisiaj jednak mogę śmiało powiedzieć, że wtedy absolutnie nie miałam pojęcia czym jest prawdziwa służba. Wciąż mam kłopoty, by ją określić czy zdefiniować. Powoli uczę się służyć i dopiero zaczynam rozumieć, o co w pomaganiu naprawdę chodzi.

– Dwa lata temu Twoje pomaganie przestało funkcjonować w jakichś ramach czasowych. Nie jesteś wolontariuszką dwa razy w tygodniu, w określonych godzinach. Jesteś nią cały czas.

– Zgadza się. Razem z moją koleżanką Moniką – również wolontariuszką Stowarzyszenia – od dwóch lat mieszkamy pod jednym dachem z Elą, osobą z upośledzeniem umysłowym. Pół roku temu dołączył do nas także Jacek. Obydwoje po śmierci rodziców zostali sami. Nie mieli rodziny, u której mogliby zamieszkać. W czwórkę tworzymy taką małą wspólnotę życia. Sporo z siebie dajemy. Jest wiele obowiązków:

gotowanie, sprzątanie, pranie. Ja jednak dużo więcej otrzymuję. Wiem, że brzmi to trochę jak slogan, ale taka jest prawda. Przebywanie wśród osób niepełnosprawnych czy upośledzonych zaspokaja moje potrzeby serdeczności, czułości, akceptacji i miłości. Kontakt z nimi jest źródłem, z którego stale czerpię. Już dawno przestałam myśleć, że to ja jestem tym dobrym Samarytaninem, który wiele z siebie daje.

– Mogę się jedynie domyślać, jak bardzo takie zaangażowanie w pomoc musi być wymagające. Kiedy masz gorszy dzień, nie możesz po prostu wyjść, trzaskając drzwiami. Musisz radzić sobie z problemami „od ręki”. Opiekujesz się przecież żywymi ludźmi a nie lalkami, które można odłożyć na półkę. To potężna odpowiedzialność, na pełny etat.

– W codzienności spadają z twarzy maski. Kiedy żyje się z podopiecznymi pod jednym dachem, trudno obronić swój wizerunek jako zawsze uśmiechniętego, empatycznego superbohatera. Codzienne życie potrafi wiele zweryfikować. Dlatego dopiero taka forma wolontariatu pokazała mi, że wciąż muszę nad sobą pracować, że muszę się pilnować. Osoby niepełnosprawne od razu demaskują każdy czyn bez miłości, skierowany w ich stronę. Przy nich nie da się niczego udawać.

– Co jest dla Ciebie w tej codzienności najtrudniejsze?

– Najtrudniejsza jest chyba walka między moimi wyobrażeniami a rzeczywistością. Bardzo często wydaje mi

się, że wiem jak komuś pomóc. Tymczasem okazuje się, że ten ktoś wcale nie potrzebuje takiej pomocy, jaką ja mu właśnie oferuję. Owszem – potrzebuje pomocy ale często według swojego scenariusza. Trzeba umieć się z tym pogodzić i nie obrażać na cały świat.

– Znamy się od dawna, dlatego śmiało mogę powiedzieć, że jesteś osobą, która wciąż nastawiona jest na dawanie. Twoje działania są ukierunkowane na innych. Rzadko myślisz o sobie. Miłość to dla Ciebie chleb powszedni.

– Mylisz się. W każdym z nas siedzi ogromny egoista. Każdy lubi być doceniony, pochwalony, zauważony. Poza tym, żeby móc dobrze pomagać innym, trzeba myśleć o sobie. Trzeba mieć czas na własne sprawy, dbać o swój rozwój i formację duchową. To jest niezbędna inwestycja w siebie, z której owoców będzie można zaczerpnąć.

– Ja jednak będę się upierać przy swoim. Przecież Ty nawet w pracy zawodowej ciągle troszczysz się o innych, o swoich pacjentów. Myślę, że w Twoim przypadku postawa służby jest w dużej mierze wpisana w osobowość i charakter. Ty to po prostu masz we krwi.

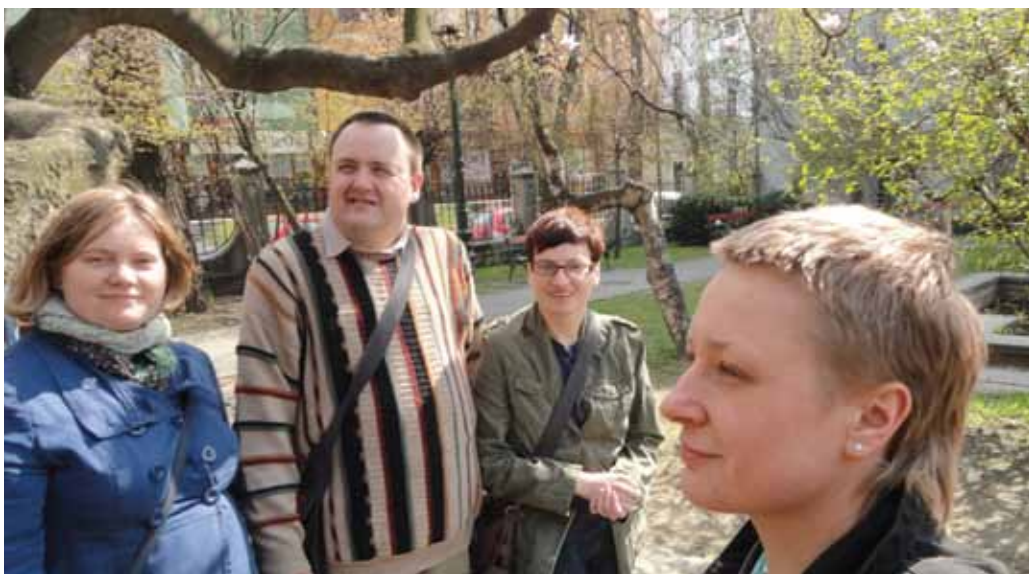
– To miłe, co mówisz. Ale z wyborem medycyny też nie wszystko było takie oczywiste. O byciu lekarzem zaczęłam myśleć pod koniec trzeciej klasy liceum. Moja ciocia wspomniała kiedyś,

że skoro dużo i dobrze się uczę, to może warto, bym poszła na medycynę. Wyśmiałam ją wtedy i powiedziałam, że to absolutnie nie dla mnie, ponieważ boję się krwi. Ale ta myśl zaczęła we mnie dojrzewać i w rezultacie postanowiłam spróbować. Dokładnie tak to wtedy traktowałam – jak próbę sił, jak sprawdzian tego, na co mnie stać. Tak naprawdę nie miałam pojęcia na co się decyduję i co wybieram. Nie do-
wiedziałam się tego nawet na studiach. Odkrywam to dopiero teraz, kiedy jestem praktykującym lekarzem. Widzę w tym wszystkim subtelne działanie Pana Boga, który cierpliwie wychowuje mnie do bycia lekarzem i służą. Studia medyczne niestety tego nie uczą.

**Powoli uczę się
służyć i dopiero
zaczynam
rozumieć,
o co w pomaganiu
naprawdę chodzi.**

– A nie masz czasem takiego wrażenia, że Twoje zaangażowanie w służbę innym, wymaga poświęcenia w pozostałych dziedzinach życia. Że wybierając drogę wolontariatu jednocześnie rezygnujesz z wielu ważnych spraw, które również mogłyby przynieść Ci radość i spełnienie?

– Nie chcę patrzeć na to w ten sposób. Chociaż faktycznie każdy wybór jakiejś wartości niesie w sobie jednocześnie świadomą rezygnację z innej. Ale wierzę, że wszystko można zgrabnie ze sobą połączyć. W moim przypadku ta rezygnacja związana była z decyzją wejścia we wspólnotę, która przynajmniej na razie rekompensuje posiadanie własnej rodziny. To jednak



Janka, Jacek, Ela i Monika (w kolejności od lewej) tworzą wyjątkową rodzinę. Bardzo dbają o to, by spędzać razem wolne chwile. Podczas wycieczki do Cieszyna, postanowili podążyć Szlakiem Magnolii.

wcale nie oznacza, że nie myślę o mężu czy dzieciach. Jestem przekonana, że jedno nie wyklucza drugiego. Decyzja na takie życie nie była decyzją łatwą. Z pewnością jednak była decyzją świadomą. Mam nadzieję, że nigdy nie będę patrzeć na moje zaangażowanie w wolontariat jako na przyczynę jakichś braków czy niespełnienia w innych obszarach życia. Musiałam odpowiedzieć sobie na pytanie czy tego chcę, czy nie. Wybory takiego kalibru zawsze łączą się z jakimś bólem. Zdecydowałam, że moje życie tak teraz będzie wyglądało i jestem szczęśliwa.

– Aby lepiej zrozumieć, czym jest wolontariat, warto przyjrzeć się etymologii tego słowa. Pochodzi ono od łacińskiego voluntarius (dobrowolny) oraz od

voluntas (wola). Zmierzam do tego, że służba na rzecz drugiego człowieka często nie jest przyjemna. Łączy się bowiem z trudem i wyrzeczeniami. Ale u podstaw decyzji, by służyć leży właśnie owa dobra wola – przekonanie, że ja tak chcę mimo wszystko, mimo trudności, które nadejdą. I ta pierwotnie podjęta decyzja „na tak” skutkuje w przyszłości – zwłaszcza w chwilach kryzysu i zniechęcenia. Świadomość raz dokonanego wyboru, nie pozwala mi wycofać się w decydującym momencie.

– Dokładnie tak. Etap pierwszych uniesień i zachwytów wolontariatem mam już za sobą. Teraz jest to głównie droga trudu i zmagania się ze sobą. Ciągle mam w pamięci tę pierwotną decyzję „na tak”. Każdego dnia wracam do niej i podejmuję ją na nowo. Wciąż

decyduję, że póki co, pragnę żyć takim stylem życia mimo wszystko.

– Wybrałaś bardzo wymagający wariant. Dokonanie takiego wyboru wymaga odwagi i poukładania sobie wielu spraw. Wymaga też determinacji, by nie zrezygnować, gdy przestanie być miło.

– Staram się pamiętać, że decydując się na uprawianie mojego zawodu a także na służbę wolontaryjną, wybrałam przede wszystkim dobro innych. To pomaga mi koncentrować się na człowieku, a nie na przypadku medycznym. Pomaga widzieć w każdym pacjencie i podopiecznym niepowtarzalną, piękną osobę, a nie tylko jednostkę z przypisanym numerem ubezpieczenia w NFZ. To jednak póki co ideał, do którego dążę, a nie umiejętność czy cnota, którą już posiadałam.

– Pokornie patrzysz na świat i na swoją w nim rolę. Trochę Ci zazdroszczę tego spojrzenia.

– Aktualnie często łapię się na takim myśleniu, że w kwestii pracy nad sobą wciąż mam wiele do zrobienia. I nie jest to żadna kokieteria z mojej strony. Niejednokrotnie najprostsze rzeczy są dla mnie nie do przeskoczenia. Dlatego jestem wdzięczna ludziom, którzy mówią mi prawdę na mój temat i stoją za mną murem bez względu na wszystko. Są dla mnie ważnym punktem odniesienia. Bez ich wsparcia byłoby dużo trudniej.

– Można Ci czegoś życzyć?

– O tak! Znalezienia czasu na naukę

i czujności, bym nie przypisywała sobie żadnej chwały z powodu posługi, którą podejmuję. Wtedy powinno być dobrze. Dobrze, mimo wszystko.

rozmawiała: RENATA KATARZYNA COGIEL



Modlitwa wolontariusza

Panie, pozwól mi być przyjacielem wszystkich. Pozwól mi być osobą, która wzbudza zaufanie w tych, którzy cierpią i lamentują.

W tych, którzy szukają światła daleko od Ciebie. W tych, którzy chcieliby zacząć od nowa, ale nie wiedzą jak.

W tych, którzy chcieliby zawierzyć komuś, ale nie czują, że mogą.

Panie, pomóż mi, abym nie ominął nikogo z obojętnym obliczem, z zamkniętym sercem, spiesząc się.

Panie, pomóż mi natychmiast stawać obok tych, którzy się martwią i są zdezorientowani.

Tych, którzy cierpią bez rozgłosu.

Tych, którzy czują się samotni.

Panie, uwolnij mnie od egoizmu, abym mógł Ci służyć.

Abym mógł Cię kochać.

Abym mógł Cię słuchać.

Abym mógł Cię powitać w każdym z mych braci, których sprawiasz, że spotykam. Amen.



Pełnosprawne więzi

Kiedy razem spotykałyśmy się wieczorem na jadalni na dziesiątce różańca, czasami niespodziewanie wchodzili opiekunowie czy pielęgniarki z lekami, a my tu ze Zdrowaśkami...

ANNA TOMASZEWSKA

Duchu Święty przyjdź! Panie Jezu, Ty idź przede mną. Wejdz pierwszy do grupy, wejdz pierwszy przez drzwi, bądź w każdej rozmowie – te słowa często były w moich myślach przed rozpoczęciem pracy, kiedy przemierzałam korytarze, idąc do grupy trzeciej.

Błogosławione oczekiwanie

Pracując w Ośrodku „Miłosierdzie Boże” w Borowej Wsi, jako opiekun wśród grupy dziesięciu niepełnosprawnych dziewcząt i kobiet (w większości z normą intelektualną, lecz niepełnosprawnych fizycznie), doświadczyłam, że dobra wola, czas i wiara, że to, co dobre zwycięży, potrafią wiele zmienić. W pierwszych dniach pracy na „trójce”, podczas spontanicznej rozmowy przy stole, usłyszałam od jednej z dziewcząt przykre i mocne słowa związane z objęciem przeze mnie opieki nad grupą: „Tak, ale nas nikt nie pytał o zdanie!” Oczywiście łatwo można się domyślić, że pojawienie się mojej osoby na tym

buntowniczym terytorium nie było związane z wielką euforią. I co za paradoks, kiedy teraz wspominamy ten moment, zawsze jest dużo śmiechu! A czasem zdarza się też usłyszeć z ust tej samej osoby miłe westchnienie: „Szkoda, że cię tu z nami już nie ma”. Nie piszę tego, aby samą siebie chwalić, ale po to, by pokazać, jak czas może zmienić myślenie, postawę wobec drugiego człowieka. Ale, aby tak się mogło stać, dobrze jest choć trochę zaufać Panu Bogu i czekać. Czas okazuje się błogosławiony.

Daj to, czym żyjesz i słuchaj „dobrych aniołów”

Ważną rolę w nawiązaniu bliższego kontaktu z mieszkańcami ośrodka odegrał mój „ośrodkowy anioł stróż” (bo tak sobie czasem nazywam jednego z pracujących tam opiekunów), który często wpadał na chwilę do naszej grupy i zawsze zostawiał jakąś myśl do refleksji lub dobrą radę i wsparcie. Pamiętam, że kiedyś powiedział (to były początki mojej pracy), że ludzie w Ośrodku potrzebują wzajemnych spotkań, potrzebują wyjść do innych, żeby nie zamykać się tylko w tym miejscu. Ta myśl zapadła mi

wtedy bardzo w serce i w dużym stopniu wpłynęła na dalszą pracę. Z kolei inna osoba zasugerowała, aby wiele rzeczy robić razem. Dlatego też ważne stało się stwarzanie okazji do tego, by coś zrobić wspólnie.

I tak postanowiliśmy robić wspólnie comiesięczne zakupy z artykułami chemicznymi, razem też piekłyśmy ciasta – niestety często wychodziły nam zakalce. Zorganizowałyśmy sobie nawet kiedyś włoski wieczór. Z włoską muzyką i włoskim jedzeniem. Były

też wypadki do kina, w góry, wspólne grillowanie, wyjścia do restauracji na pizzę, czy gorącą czekoladę. Często podróżowałyśmy miejskimi autobusami, co sprawiało jeszcze większą frajdę, a dla osób poruszających się na wózkach było okazją do nabycia umiejętności korzystania z komunikacji miejskiej. Zdarzały się też wyjazdy pociągiem – na lody do Pszczyny, czy bardziej wymagający – na Górę Świętej Anny. Podczas każdego z takich wyjazdów można było poznać się lepiej. Dobrymi wspólnymi

Niepełnosprawność nie stanowi absolutnie żadnej przeszkody w tworzeniu więzi. Na fotografii Autorka tekstu - Anna Tomaszewska z jedną z mieszanek Ośrodka podczas pielgrzymki do Rzymu.



wydarzeniami, które dla mnie miały szczególne znaczenie, były pielgrzymki. Co roku z parafii w Borowej Wsi organizowana jest piesza pielgrzymka do pobliskiego Sanktuarium Maryjnego. Ponieważ była to okazja do wspólnego spędzenia czasu i do doświadczenia duchowego, nasza grupa również wybrała się na tę pielgrzymkę. Wyzwaniem dla nas stała się także nocna młodzieżowa piesza pielgrzymka do Rud Raciborskich. Niesamowite przeżycie! Było ciężko, ale świadectwo wiary niezapomniane. Wymyśliłyśmy nawet wspólną intencję – idziemy modlić się o dobrego męża!

Pamiętam moment na jednym z postojów, kiedy podczas adoracji była możliwość przystąpienia do spowiedzi świętej. Czułam wtedy potrzebę, aby skorzystać z tego sakramentu. Kiedy odeszłam od konfesjonału, zobaczyłam, że wielu z naszej grupy również podchodzi do spowiedzi. Wówczas przyszła taka refleksja, że warto dać przykład, bo wtedy istnieje szansa, że inni podążą naszymi śladami. W te różne wspólne działania często włączałam moich znajomych, mieszkańców Borowej Wsi, aby integracja miała szerszy wymiar, aby umożliwić im bliższy kontakt z osobami niepełnosprawnymi. Wierzę, że przyniosło to dobry owoc – przekonanie, że to przecież normalni ludzie, z podobnymi problemami. Takie znajomości to prawdziwy skarb.

Cudownym przeżyciem duchowym stała się wspólna pielgrzymka do Rzymu i Msza Święta przy grobie Błogosławionego Jana Pawła II. Miałam okazję

być w Rzymie kilka razy i pomyślałam, że warto umożliwić wyjazd i przeżycie pięknych chwil także tym, którzy tak łatwo nie mogą sami pojechać. Zachęcam każdego do pielgrzymowania razem z osobami niepełnosprawnymi – to uczy pokory, a o narzekaniu nie ma mowy! Pomagając ludziom warto chyba dać po prostu to, co samemu lubi się robić. Wyjść z inicjatywą ale też korzystać z nadarzających się okazji. To zbliża do siebie!

Pozwól się zawstydić

Pamiętam szczególny czas i wielkie świadectwo wiary grupy, kiedy w październiku – we wspomnienie Świętej Faustyny – większość z nas zdecydowała się na Duchową Adopcję Dziecka Poczętego. Pomysł wyszedł od jednej z mieszkanek, która trwała w tym nabożeństwie już długi czas. Wcześniej dałyśmy sobie tydzień czasu na podjęcie decyzji o przystąpieniu do modlitwy. Podczas jednej z kolacji umówiliśmy się na spotkanie w kaplicy, aby przy Panu Jezusie to postanowienie złożyć. Dziewczyny zachęcały się wzajemnie. Ten widok budował! Prawie cała grupa przyszła. Pamiętam też, że ważne było dla nas to, aby modlić się razem. To miało nas motywować do wytrwałości w modlitwie przez całe 9 miesięcy. Ustaliłyśmy stałą wieczorną porę i miejsce na dziesiątkę różańca. Często przedłużałyśmy modlitwę, ponieważ dołączałyśmy dodatkowe własne intencje do przemodlenia. Dla mnie było to wielkie świadectwo wiary i pobożności. Nieraz zawstydziła mnie gorliwa

modlitwa niektórych dziewczyn. Kiedy razem spotykałyśmy się wieczorem na jadalni na dziesiątkę różańca, czasami wchodzili niespodziewanie opiekunowie, czy pielęgniarki z lekami, a my tu ze Zdrowaškami. Przyznam, że niektórzy robili wielkie oczy ze zdziwienia, a nam pojawiał się wtedy uśmiech na twarzach. Siła tkwi w grupie. „Bo gdzie dwóch albo trzech modli się w Imię

Nie ma nic piękniejszego niż roześmiana twarz kogoś, kto mimo choroby czy niepełnosprawności cieszy się, bo znalazł miejsce w sercu drugiego człowieka.



Moje...” – znamy dobrze te słowa Jezusa. I choć z różnych powodów zakończyłyśmy tę Adopcję, modląc się teraz indywidualnie, do dziś mam takie przekonanie, że wtedy ta modlitwa różańcowa była dla wielu z nas umocnieniem wiary i szczególnym ziarenkiem budującym i przemieniającym naszą grupową wspólnotę.

Bóg uczyni resztę!

Wierzę, że po prostu tyle, ile mogliśmy z siebie dać – dałyśmy – a Pan Bóg uczynił resztę i pokazał, że możemy razem robić coś dobrego! Możemy umacniać się wzajemnie przeżywaniem swojej wiary. Możemy to czynić mimo różnych napięć i kryzysów, które się pojawiają. Mimo ukradkiem wylanych łez, mimo chęci pokazania swoich racji. Wiem, że choć pojawiały się nieporozumienia i trudności, przykre słowa czy niemiłe spojrzenia, w głębi serca zależało nam na wzajemnym dobru. To, co było złe i niepotrzebne rodziło okazje do powiedzenia słowa „przepraszam” czy przytulenia.

Najważniejszym z doświadczeń z pracy w Ośrodku „Miłosierdzie Boże” jest poczucie, że daje się część siebie oraz przekonanie, że niepełnosprawność ludzka nie jest czymś, co tworzy bariery – ale wręcz przeciwnie – zbliża i może stać się przestrzenią motywującą do działania. Mam pewność, że niepełnosprawni są skarbem w oczach Boga, bo na nich objawia się Jego Chwała. Bycie wśród nich to dla mnie wielka łaska.



Pogotowie modlitewne

Zachęcamy do nadsyłania na adres redakcji intencji do modlitwy wstawienniczej a zarazem apelujemy – szczególnie do chorych – aby swoje cierpienia zechcieli ofiarować we wszystkich nadsyłanych intencjach. Będzie to piękna i konkretna realizacja drogi ich apostołstwa.

Modlimy się:

1. W intencji pokoju na świecie,
2. W intencji misji na świecie i prześladowanych chrześcijan,
3. W intencji ludzi bezdomnych,
4. W intencji kapłanów o świętość życia,
5. W intencji wszystkich członków, czytelników i dobrodziejów Apostołstwa Chorych,
6. W intencji wszystkich chorych, którzy piszą lub dzwonią do Apostołstwa Chorych,
7. O rozwiązanie kwestii *in vitro* zgodnie z wolą Bożą,
8. O duchowe owoce Roku Wiary,
9. W intencji Stefanii i Andrzeja o pomoc Bożą w ciężkiej chorobie,
10. W intencji Bogdana o łaskę opamiętania i zgodę w rodzinie,
11. W intencji Mariana o zdrowie,
12. W intencji Tomasza, Teresy i Marcina,
13. W intencji Małgorzaty i Waldemara o ratunek dla ich małżeństwa,
14. W intencji Eugeniusza o dar zdrowia,
15. W intencji Bogumiły i Feliksa o łaskę uzdrowienia z nowotworu,
16. W intencji Marka o łaskę nawrócenia oraz dobre relacje w rodzinie,
17. W intencji Sylwii z prośbą o zdrowie i błogosławieństwo dla całej rodziny,
18. W intencji rodziny Albers o wszelkie potrzebne łaski,
19. W intencji Marii o dar uzdrowienia,
20. W intencji syna Stanisława o łaskę uwolnienia z nałogu,
21. W pewnej intencji o zbawczą moc uzdrowienia i uwolnienie od wszelkiego zła,
22. W intencji Alicji i Bogdana o łaskę nawrócenia,
23. W intencji Agnieszki i Michała o łaskę nawrócenia,
24. W intencji Jadwigi z Kępna,
25. W intencji siostrzeńca Roberta,
26. W intencji Bronisława o nawrócenie,
27. W intencji wszystkich konających,
28. O dar zgody i miłości w rodzinie,

29. W intencji Wiesławy o uzdrowienie oraz wszelkie potrzebne łaski,
30. W intencji chorej Joanny o łaskę uzdrowienia,
31. W intencji Andżeliki o dar zdrowia,
32. w intencji Grażyny i Jacka,
33. W intencji Jadwigi Wiśniewskiej o powrót do zdrowia po przebytej operacji,
34. W intencji siostry Borgii, Teresy Domagały i Agaty z Konotopu o ulgę w cierpieniu,
35. W intencji Józefy z Czarnej o łaskę zdrowia i potrzebne łaski,
36. W intencji Beaty i jej rodziny o wszelkie potrzebne łaski,
37. W intencji teściowej Bolesławy o przemianę serca,
38. W intencji córki i syna o dar zdrowia,
39. W intencji rodziców Marii i Juliana oraz Justyny, Jacka, Patrycji i Miłosza o potrzebne łaski,
40. W intencji wnuka Mateusza o potrzebne dary i znalezienie pracy,
41. W intencji Agnieszki o wszelkie łaski,
42. W intencji Rafała o dar uzdrowienia,
43. W intencji męża Jana o uzdrowienie,
44. W intencji Róży o uwolnienie z lęków,
45. W intencji Grzegorza o dar zdrowia,
46. W intencji synowej Anny o zdrowie,
47. W intencji Joanny o dar zdrowia,
48. W intencji Jadwigi o udaną operację,
49. W intencji Karola o łaskę wiary,
50. W intencji Barbary o wszelkie łaski,
51. W intencji Stanisławy o dar zdrowia,
52. Za zmarłą Marię Bogdanik,
53. Za zmarłych Kazimierę i Adama,
54. Za zmarłego Zbigniewa z Nowej Soli,
55. Za zmarłą siostrę Ewelinę,
56. Za zmarłych rodziców.
-
- Nadsyłane intencje modlitewne publikujemy także na naszej stronie internetowej: www.apchor.pl



Papieskie intencje Apostolstwa Modlitwy



SXCHU

GRUDZIEŃ:

Intencja ogólna:

Aby na całym świecie migranci byli przyjmowani, zwłaszcza przez wspólnoty chrześcijańskie z wielkodusznością i autentyczną miłością.

Intencja misyjna:

Aby Chrystus objawił się całej ludzkości jako Światło, które płynie z Betlejem i odbija się na obliczu Jego Kościoła.

STYCZEŃ:

Intencja ogólna:

Aby w Roku Wiary chrześcijanie mogli głębiej poznać tajemnicę Chrystusa i z radością dawać świadectwo o darze wiary w Niego.

Intencja misyjna:

Aby wspólnoty chrześcijańskie na Bliskim Wschodzie, często dyskryminowane, były obdarzane przez Ducha Świętego mocą wierności i wytrwałości.

II Krucjata Modlitwy w Intencji Ojczyzny

GRUDZIEŃ:

Niech Święta Rodzina będzie wzorem i wsparciem dla wszystkich polskich rodzin.

STYCZEŃ:

Aby Nowa Ewangelizacja obejmowała zarówno ewangelizację serca człowieka, jak również kulturę oraz życie społeczne w Polsce.



DANUTA DAIMUND

Po prostu wujek

Ojciec Tomasz Czaja, kamilianin, opowiada
o pomyśle Boga na jego życie i radości płynącej ze służby.

REDAKCJA: – *Jestem wdzięczna, że znalazł Ojciec czas na rozmowę ze mną podczas swojego urlopu. Korzystam z okazji, bo rzadko bywa Ojciec w ojcystym kraju.*

O. TOMASZ CZAJA: – Tak się złożyło, że moi przełożeni skierowali mnie do pracy najpierw we Włoszech, teraz w Hiszpanii. Ale chociaż żyję i pracuję zagranicą, to jednak najlepiej czuję się w Polsce, wśród swoich – u Mamy i Taty.

– *W takim razie „zostańmy” w Polsce. Tutaj wszystko się zaczęło. Życie, powołanie i służba. Dlaczego wybrał Ojciec akurat zakon kamiliański?*

– Wiedziałem, że pragnę zostać księdzem, który będzie służył chorym. Miałem w sobie pewność, że to jest droga, którą powinienem pójść. Udałem się więc do mojego ówczesnego proboszcza i poprosiłem go o wykaz zakonów, które służą chorym. Powiedział, że właściwie istnieją trzy możliwości: bonifratrzy, kamilianie i albertyni. Pan Bóg jakoś tak pokierował moimi drogami, że pojechałem do kamilianów i trafiłem na bardzo młodego prowincjała, który cierpliwie odpowiedział na wszystkie moje pytania dotyczące zakonnego życia. Po tej jednej rozmowie wiedziałem, że znalazłem dokładnie to, czego szukałem.

– *A pamięta Ojciec genezę tego pragnienia oddania się chorym na służbę?*

– Nigdy wcześniej nie miałem kontaktu z jakąś ciężką chorobą i chorymi. Kończyłem szkołę hutniczą. Co prawda sam ciężko chorowałem, ale było to w okresie niemowlęcym, nie mogę więc pamiętać tej choroby jako czegoś, co mnie poważnie doświadczyło. Nawiasem mówiąc, mój stan był bardzo poważny. Pierwszych 11 miesięcy życia spędziłem w szpitalu. Ochrzcił mnie mój Tata zaraz po narodzinach, bo istniało niebezpieczeństwo, że umrę. Co do genezy pragnienia, by służyć chorym, to myślę, że to jednak Boże działanie i Jego pomysł na moje życie. Jestem Mu za to wdzięczny.

– *Miał Ojciec zapewne wiele niezwykłych spotkań z chorymi. Czy któreś szczególnie zapadło Ojcu w pamięć?*

– Takie szczególne spotkanie trwało 5 lat. Wówczas jako kleryk byłem wolontariuszem w warszawskim hospicjum dla dzieci. Kiedy zostałem księdzem, dyrektor tej placówki poprosił Księdza Prymasa, bym nadal mógł służyć chorym i umierającym. Mali pacjenci i ich rodziny dobrze mnie znały. Często nazywały mnie wujkiem. Ksiądz Prymas

zgodził się i z wieloletniego wolontariusza „awansowałem” na kapelana. Szczególnym spotkaniem, które zapamiętam do końca życia było spotkanie przy łóżku umierającego dziecka. Pragnęło ono z całego serca przyjąć Komunię Świętą, ale nie osiągnęło jeszcze wymaganego wieku. Przy łóżeczku leżało kupione ubranko komunijne. Nowe, pachnące. Obok rodzice oczekujący na moją decyzję. Pamiętam, że modliłem się, pytałem starszych, doświadczonych kapłanów, co robić. W końcu zdecydowałem, że udzielę Komunii. Dzisiaj wiem, że decyzja była słuszna, ponieważ dziecko po przyjęciu Komunii Świętej zmarło jeszcze tego samego dnia. Podejmowania takich decyzji nie można nauczyć się na teologii czy w zakonnym seminarium.

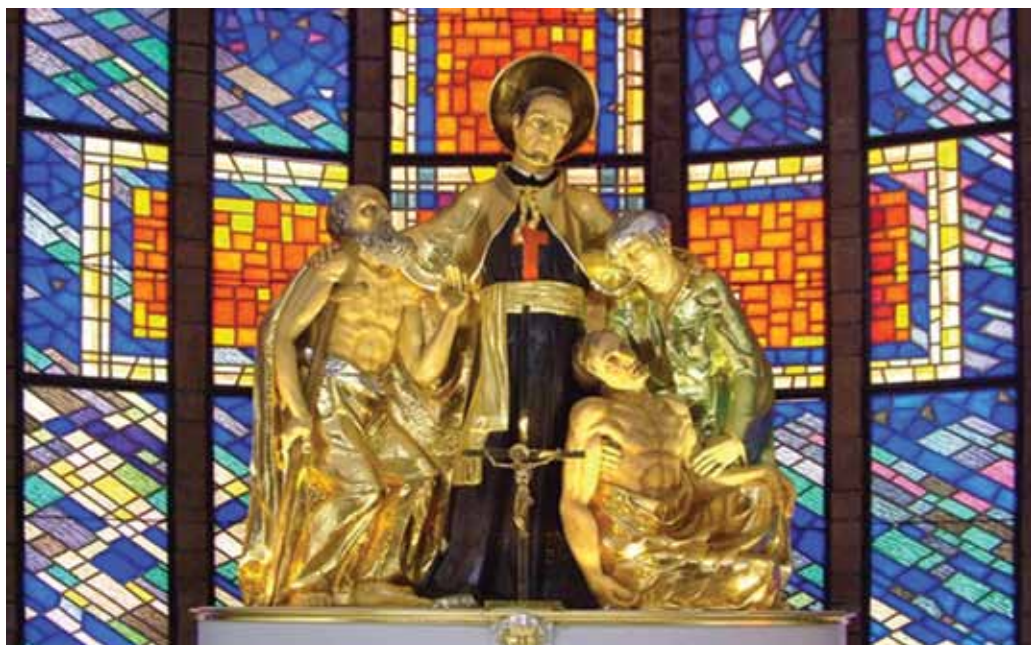
– Posługa wolontariusza czy kapelana to także kontakt z rodzinami podopiecznych.

– Tak, to ważna część mojej posługi. Staram się towarzyszyć im w lęku i bólu. Moja rola polega czasem jedynie na byciu. Owszem, zdarza się, że odpowiadam na pytania, wyjaśniam wątpliwości, ale tak naprawdę głównie służę dyskretną obecnością.

– Chyba jednak najtrudniej „być” przy osobie, która cierpi lub odchodzi.

– Mam przed oczami czteroletnie dziecko, któremu towarzyszyłem w przejściu do Wieczności. Pamiętam, że choć było małe, dobrze wiedziało, że umiera. Krótco przed śmiercią poprosiło mnie: „Wujku, kiedy umrę, powiedz mamie, żeby

W Zabrze, w kościele Ojców Kamilianów, znajduje się piękna figura Świętego Kamila de Lellis, założyciela zakonu a także patrona tego miasta.



nie płakała”. Każdy wolontariusz, czy kapłan z pewnością mógłby opowiedzieć niejedną taką historię.

– *A co z trudnymi pytaniami w obliczu zbliżającej się śmierci?*

– Takie pytania zasadniczo dzielą się na dobre i złe. Pewien starszy kapłan, który całe życie służył chorym mawiał, że jeżeli człowiek chory lub umierający wykrzykuje pytanie „dlaczego?”, to trzeba to potraktować jako jego modlitwę. I to jest dobre pytanie. Złym pytaniem zadawanym w obliczu śmierci jest pytanie „dlaczego ja, a nie ktoś inny?” To jest egoizm. Na szczęście Bóg jest większy od ludzkich kalkulacji i potrafi sobie z tym egoizmem poradzić. Dał zresztą człowiekowi najlepszą odpowiedź na te trudne pytania, posyłając na świat Jezusa Chrystusa. Śmierć generalnie wszystkich nas przerasta, mnie również. Przecież ja nie wskrzeszę tego człowieka, więc w tym względzie faktycznie jestem bezradny. Ale w optyce wiary, jako kapłan często mogę mu pomóc mocą Boga. Aby uśmierzyć ból, można zaaplikować dawkę leku. Aby uśmierzyć cierpienie, nie wystarczy zastrzyk. Tutaj potrzeba Samego Boga. Dzieje się tak dlatego, ponieważ ból to nie jest to samo, co cierpienie. Na dramatyczne pytania umierających nie ma odpowiedzi bez Pana Boga. Koniec. Kropka.

– *Co robi Ojciec na szpitalnych oddziałach?*

– Chodzę. Wciąż pokutuje pogląd, że jeśli ksiądz wchodzi na oddział, to jest to znak, że ktoś umiera. A ja po prostu odwiedzam moje oddziały. Musiałem nauczyć moich podopiecznych myślenia:

odwiedzam was nie dlatego, że umieracie ale dlatego, że jesteście chorzy. Dzięki tym częstym wizytom pacjenci dobrze mnie znają, mają odwagę tworzyć więzi i rozmawiać o Panu Bogu. Oni mnie widzą codziennie i dzięki temu mój widok nie budzi w nich lęku.

– *Jako kamilianie macie szczególny charakter służby chorym. Z tym wiąże się dodatkowy ślub, który składacie.*

– Ten „dodatkowy”, ślub jest w naszym zakonie pierwszy i najważniejszy. Formuła ślubowania brzmi: „Ślubuję służyć chorym – nawet z narażeniem życia – w czystości, ubóstwie i posłuszeństwie”. Staram się więc służyć wszystkim potrzebującym, których spotykam. W swoim zakonnym życiu miałem okazję posługiwać wielu ludziom. Jako wolontariusz chodziłem na przykład do więzienia na Służewcu w Warszawie i towarzyszyłem więźniom z wirusem HIV. Jak widzisz, miłość nie wybiera – ona posyła wszędzie!

– *Wiem, że wśród chorych jest Ojciec szczęśliwy.*

– Jestem. Pragnę im podziękować za wielki dar cierpienia, którym dzielą się z innymi. Ono ma ogromną wartość! Chcę powiedzieć każdemu cierpiącemu człowiekowi, że jest kochany przez Boga i spoczywa w Jego dłoniach. Proszę chorych o modlitwę w intencji powołań do naszego zakonu. Bardzo tej modlitwy potrzebujemy. Tylko oni – aktywni swoim bólem i trudnościami – są w stanie wyprosić nam tę łaskę.

rozmawiała: RENATA KATARZYNA COGIEL

Temperament cappuccino

W grudniu tego roku przypada okrągła – trzydziesta rocznica śmierci księdza Jana Kantego Szurleja, drugiego Sekretarza Apostolstwa Chorych w Polsce.

ALBERT KARKOSZ

Trudno uwierzyć, że od tego momentu minęło już trzydzieści pięć lat... Pamiętam to jak dzisiaj. Letnie przedpołudnie roku 1977. O tej porze miałem wyznaczoną godzinę na ćwiczenie gry na organach.

Zapach Tabacory

Półmrok krypty Katedry Chrystusa Króla w Katowicach. Siedziałem przy kontuarze i zaczynałem to, co do mnie należało. Pierwsze wolne, labialne dźwięki zadanego utworu. Byłem skupiony, gdyż było to jego pierwsze czytanie. Nie odrywałem wzroku od nut. Po krótkiej chwili zaczął do mnie docierać zapach męskiej wody kolońskiej Tabacora, który stawał się coraz bardziej intensywny. Przerwałem grę w momencie, gdy na prawym ramieniu poczułem ciepło

czyjejś dłoni. Odwróciłem się, a obok mnie stał ksiądz Jan Szurlej (znany mi już wcześniej). Koniec z ćwiczeniem. Przyszedł na pewno odprawić Mszę Świętą – pomyślałem sobie mocno niezadowolony z zaistniałej sytuacji. A ksiądz rzecze: – Ładnie grasz, podobają mi się. Chciałbym odprawić Mszę Świętą przy twoim akompaniamencie. – Jak to, przy moim akompaniamencie? – zapytałem. – Tak po prostu – odpowiedział. – Ty będziesz sobie grał, ale pod warunkiem, że będzie to ten utwór, a ja odprawię cichą Mszę. Wówczas ku mojej radości, spadł mi z serca kamień. Kontynuowałem „dukane”, ponieważ do płynnej gry było jeszcze bardzo daleko. I rzeczywiście po chwili z zakrystii, ubrany w szaty liturgiczne, wyszedł ksiądz Jan, a ja mu towarzyszyłem, wypełniając półmrok świątyni dźwiękami ćwiczonego utworu. Po skończonej celebrze, wychodząc z krypty, z rysującym się

na twarzy zadowoleniem, podziękował mi za udaną współpracę. Było to moje z księdzem Janem, niezaplanowane i niezapomniane, ostatnie spotkanie.

Historia pewnego listu

Wspomniałem, iż kapłan ten był mi już wcześniej znany. Otóż kilka miesięcy przed tym spotkaniem, siedłem z moim tatą ulicą Powstańców w Katowicach. W okolicach Katedry Chrystusa Króla, ujrzelśmy księdza Jana, idącego zamaszystym i dostojnym krokiem. Zbliżył się do nas i zaproponował u siebie, czyli w redakcji „Apostolstwa Chorych” – cappuccino, jego ulubioną kawę. Napój był przedni. Rozmowę otworło standardowe pytanie: – Co tam u was w szerokim świecie? No i zaczęło się...

Ojciec był właśnie pod ogromnym wrażeniem treści listu, jaki otrzymał od swojego znajomego z Bukaresztu, a napisanego zaraz po wielkim trzęsieniu ziemi, które nawiedziło

to miasto. Opisywał on cudowne ocalenie części swego domu, w którym zawieszony był drzeworyt Pawła Stelera, przedstawiający cudowny wizerunek Matki Boskiej Piekarskiej, który przed laty dostał w prezencie od mego

ojca. Zasadniczą treścią listu był hołd za ocalenie złożony przez jego autora Matce Boskiej, którą nazywał „Orędowniczką wszelkich łask”. Opowieść o tym cudownym wydarzeniu tak zainteresowała księdza Szurleja, człowieka niesamowitej wrażliwości, że postanowił go osobiście przetłumaczyć na język polski i w całości wydrukować na łamach „Apostolstwa Chorych” (Rocznik 48: 1977, nr 9). W tym miejscu warto wspomnieć, że ten niezwykle kapłan władał biegle wieloma językami.

Rocznica

Migrując po mocno zakurzonych obszarach mej pamięci, przypominam sobie bardzo wiele momentów i barwnych anegdot związanych z temperamentną osobą księdza Jana Szurleja, którego w tym roku, a dokładnie 30 grudnia, wspominamy trzydziestą rocznicę śmierci. Jego temperament był jak smak kawy cappuccino, którą uwielbiał – delikatny, a jednocześnie wyrazisty

i intrygujący. O wielu wydarzeniach z życia księdza Jana opowiadał mi mój wuj – także ksiądz z diecezji lwowskiej, kolega ze studiów lwowskich ksiądz Szurleja – Tomasz Trębacz (1908–1992). W związku z okrągłą rocznicą śmierci



ARCHIWUM APOSTOLSTWA CHORYCH

Ksiądz Jan znany był z oryginalnego poczucia humoru. Często pozwalał sobie na opowiadanie dowcipów, a osobom, z którymi współpracował, nadawał śmieszne przezwiska.

księdza Szurleja, warto w krótkim zarysie ukazać wyjątkową historię jego życia, którego początki wiążą się z niewielką wioską, Słobodą Konkolnicką w ówczesnym powiecie rohatyńskim, na terenie województwa stanisławowskiego.

Trochę wspomnień

Tutaj przyszedł na świat 15 października 1914 roku w rodzinie Antoniego i Bronisławy, z domu Kwiatkowska. Chrzest przyjął w kościele parafialnym pod wezwaniem Świętej Marii Magdaleny w Konkolnikach. Podczas polsko – ukraińskiej wojny o Galicję Wschodnią w maju 1919 roku cudem uniknął śmierci, stojąc już wraz z rodziną pod murem, gdzie mieli zostać rozstrzelani. Do szkoły powszechnej młody Janek uczęszczał w Bołszowcach, a następnie uczył się w VI Gimnazjum Klasycznym im. Stanisława Staszica we Lwowie. W 1936 roku po złożeniu egzaminu maturalnego, Jan Szurlej wstąpił do Seminarium Duchownego we Lwowie i jednocześnie został studentem na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimierza. Po zajęciu Lwowa przez wojska sowieckie 22 września 1939 roku, Wydział Teologiczny na UJK został rozwiązany. W jego miejsce powstał Tajny Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza (1939–1944), którego absolwentem został

właśnie Jan Szurlej. Przyjął potajemnie sakrament święceń kapłańskich 29 czerwca 1940 roku. Święceń udzielił mu bp Eugeniusz Baziak w kaplicy Świętego Józefa w Katedrze obrządku łacińskiego pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP we Lwowie. Warto nadmienić, iż po studiach na Tajnym Wydziale Teologicznym UJK w latach jego funkcjonowania wyświęconych zostało 77 nowych kapłanów. Wielu z nich, jako repatrianci, wraz ze swoimi parafianami przybyli głównie na Śląsk.

Podczas wojny terytorium archidiecezji lwowskiej znalazło się pod

Tablicę epitafijną poświęconą pamięci księdza Jana Kantego Szurleja umieszczono na zewnętrznej ścianie kaplicy cmentarnej przy ulicy Francuskiej w Katowicach.



ALBERT KARKOSZ

niemiecką okupacją. W tym czasie, krótko po święceniach ksiądz Szurlej pracował w duszpasterstwie w warunkach okupacji jako wikariusz w rodzinnych Konkolnikach. Były to lata 1940–1943. Do 1946 roku we Lwowie pełnił funkcję kapelana sióstr: karmelitanek i felicianek oraz wikariusza w kościele Świętej Anny, będąc równocześnie kapelanem szpitalnym. W czasie pracy duszpasterskiej, zwłaszcza w Konkolnikach, współpracował z AK, gdzie organizował samoobronę parafian przed napadami bojówek Ukraińskiej Powstańczej Armii.

W lipcu 1946 roku ksiądz Jan Szurlej wyjechał ze Lwowa i przybył do Katowic, zgłaszając się do pracy duszpasterskiej w tej diecezji. W październiku tego samego roku został kapelanem szpitala przy ulicy Francuskiej (do 1958 roku) oraz katechetą w męskiej szkole zawodowej (do roku 1949). W 1950 roku uzyskał na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie tytuł magistra teologii, a dwa lata później na tym samym wydziale obronił tytuł doktora. W 1959 roku zgłosił się do konkursu na proboszcza w parafii Przemienienia Pańskiego w Katowicach, lecz bp Herbert Bednorz skierował go do pracy, jako wykładowcę teologii moralnej w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Krakowie, gdzie przebywał w latach 1960–1977. Imponował klerykom swoją wiedzą, prawością i skromnością. Po śmierci księdza

**Jego temperament
był jak smak
kawy cappuccino,
którą uwielbiał.
Delikatny
i wyrazisty.**

Michała Rękasa, z mandatu Prymasa Polski, kardynała Stefana Wyszyńskiego, od maja 1964 roku aż do swojej nagłej śmierci pełnił funkcję sekretarza Krajowej Centrali Apostolstwa Chorych w Polsce, mającej swoją siedzibę w Katowicach. Ksiądz Jan Kanty Szurlej poza wymienionymi funkcjami, publikował swoje artykuły na łamach „Gościa Niedzielnego”, „Apostolstwa Chorych” i „Śląskich Studiów Historyczno-Teologicznych”, ujawniając swój charyzmat związany ze służbą ludziom chorym i potrzebującym. W uznaniu jego zasług na niwie Pańskiej, 15 października 1971 roku został mianowany kapelanem Jego Świątobliwości.

Zmarł nagle 30 grudnia 1982 roku w drodze, idąc z kamienicy przy ulicy Powstańców, w której mieszkał, na Mszę Świętą do katowickiej katedry. Spoczął pierwotnie na cmentarzu przy ulicy Francuskiej w Katowicach. Później trumna została przeniesiona do grobowca rodzinnego na cmentarzu w Kłodzku (taka była wola zmarłego), a w Katowicach pozostała tylko tablica epitafijna w miejscu jego pierwotnego pochówku.

29 grudnia 2012 roku o godzinie 12.00 w Archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach, zostanie odprawiona Msza Święta za śp. księdza Jana Szurleja.



Chorzy piszą do nas

W dzieciństwie i młodości wiele przeszedłem. Od 30 lat choruję na schizofrenię paranoidalną, depresję oraz zespół lękowy. Bywa czasem, że jest mi ciężko, bo znikąd nie otrzymuję pomocy. Dochodzę jednak do wniosku, że Bóg naprawdę mnie kocha. Wiara w Niego daje mi nadzieję i sprawia, że moje cierpienie ma sens. Chciałabym poznać historie ludzi, którzy podobnie jak ja, zmagają się z trudnościami, ale nie tracą nadziei.

CYTELNICZKA WERONIKA

Szczerze dziękuję za przyjęcie mnie do grona członków Apostolstwa Chorych. Naprawdę jestem bardzo wdzięczny. Ufam, że w moim życiu układa się po Bożemu. Jestem aktualnie po drugiej serii chemioterapii, która działa skutecznie. Całej Redakcji życzę wszelkich łask Bożych i opieki Matki Najświętszej. Z serca pozdrawiam także wszystkich Czytelników. Szczęść Boże!

FELIKS Z GDAŃSKA

Droga Redakcjo! Dziękuję za miesięcznik „Apostolstwo Chorych”. Odnajduję w nim wiele cennych dla mnie treści. Od 12 lat jestem osobą bardzo cierpiącą. Dotknęła mnie choroba mięśni szyi i karku, ponadto mam kłopoty z chodzeniem. Modłę

się i swoje cierpienia oddaję Jezusowi Miłosiernemu i Matce Bożej we wszystkich intencjach Apostolstwa Chorych i całego Kościoła. Serdecznie pozdrawiam i życzę Bożego błogosławieństwa w dalszej pracy na rzecz chorych. Szczęść Boże!

ALFREDA Z TARNOBRZEGU

Do Apostolstwa Chorych należę od 1966 roku. Krzyżyk i dyplom otrzymałem od księdza Jana Szurleja. Miesięcznik podtrzymuje mnie na duchu i pomaga trwać przy Bogu. Jestem człowiekiem samotnym i chorym, po przebytym udarze mózgu. Dziękuję Bogu i Matce Bożej, że przeżyłem. Za dar życia dziękuję Bogu każdego dnia. Staram się czytać książki i prasę katolicką, o ile tylko siły pozwalają. Nie tracę nadziei. Życzę całej Redakcji i wszystkim Czytelnikom zdrowia oraz wielu sił.

EUGENIUSZ

Pozdrawiam całą Redakcję. Dziękuję za wsparcie i modlitwę. Choć bardzo cierpię, staram się ufać Bogu i łączyć cierpienia z męką Pana Jezusa. Mam wokół siebie dobrych ludzi, którzy pomagają mi w razie konieczności. Jestem wdzięczna za każdy życzliwy gest i dobre słowo. W osobistych modlitwach polecam Bogu wszystkich chorych oraz tych, którzy im służą. Niech Jezus i Maryja błogosławią im w trudnej pracy i obdarzają niezbędnymi siłami. Szczęść Boże!

CYTELNICZKA KATARZYNA

Jak zostać członkiem Apostolstwa Chorych



Osoba, która pragnie zostać członkiem Apostolstwa Chorych powinna spełnić trzy warunki:

-  **Przyjąć cierpienie z poddaniem się woli Bożej.**
-  **Znosić je cierpliwie, po chrześcijańsku, w zjednoczeniu z Jezusem, który się za nas ofiarował na krzyżu, ofiaruje się w Eucharystii i wciąż żyje w Kościele.**
-  **Ofiarować swe cierpienia Bogu w intencji przybliżenia Królestwa Bożego, za zbawienie świata, za Kościół i Ojczyznę i w intencjach Ojca Świętego.**

Te trzy warunki stanowią istotę Apostolstwa Chorych. Nie obowiązują one pod groźbą grzechu, ani na zawsze, ale tylko na czas trwania choroby. Chory, który z własnej woli pragnie spełnić trzy wymienione warunki, powinien zgłosić się osobiście, listownie lub telefonicznie do Krajowego Sekretariatu Apostolstwa Chorych w Katowicach. Jako dowód przyjęcia otrzyma dyplom i krzyżyk Apostolstwa Chorych, a także drukowane co miesiąc Listy, redagowane przez Sekretariat w formie czasopisma.

Prenumeratę „Apostolstwa Chorych” można zamawiać w dowolnym czasie w ciągu całego roku. Na życzenie, wraz z pierwszym numerem, przysłemy również poprzednie numery z danego roku.

Nasz adres:

Apostolstwo Chorych, ul. Warszawska 58, 40-008 Katowice, tel. 32 251 21 52



Wydawca: POLSKI SEKRETARIAT APOSTOLSTWA CHORYCH

Redaktor: ks. WOJCIECH BARTOSZEK; Za pozwoleniem Władzy Duchownej

Adres Redakcji: „Apostolstwo Chorych”, ul. Warszawska 58, 40-008 Katowice, tel./faks 32 251 21 52;
parter Księgarni Świętego Jacka – wejście od podwórza

Adres do korespondencji: „Apostolstwo Chorych”, skr. poczt. 649, 40-958 Katowice 2

e-mail: sekretariat@apchor.pl

www.apchor.pl

Prenumerata: Dobrowolna ofiara na miesięcznik i przesyłkę.

nr konta: 62 1020 2313 0000 3602 0019 8689; PKO BP SA I O/Katowice

Informacja dla prenumeratorów z zagranicy: międzynarodowy numer **IBAN** – numer rachunku bankowego poprzedzony kodem kraju, w którym jest on prowadzony – w przypadku Polski: **PL**

kod SWIFT (BIC Code) – dla PKO Banku Polskiego: **BPKOPLPW**

Projekt graficzny: Witold Morawski

Druk: Drukarnia Archidiecezjalna, 40-042 Katowice, ul. Wita Stwosza 11.

Za treść ogłoszeń oraz listów od Czytelników redakcja nie odpowiada.



ARCHIWUM STOWARZYSZENIA



ARCHIWUM STOWARZYSZENIA

Możesz pomóc – przekazując nam **1%** swojego podatku.
W ten sposób będziesz wspierać osoby z upośledzeniem umysłowym, niepełnosprawnych, osoby w podeszłym wieku, chorych i żyjących w ubóstwie.

Stowarzyszenie na Rzecz Niepełnosprawnych SPES

• KRS: 00000 14574 •
• ul. Kościuszki 46 • 40-048 Katowice •
tel. 32 205 38 80 • e-mail: spes@spes.org.pl